

Wczoraj jeszcze puszysty śnieg sypał, gdy z plecakiem na ramionach i laską podróżną w rękę piał się długą serpentyną ku Ypsylonowi.

— Czy pójdę w góry? — pytał gospodarz.

— Nie — odparłem — jako akcjonariusz idę na Walne Zebranie do fabryki „Iks“.

— Tak? Na Walne Zebranie? — powtórzył gospodarz z szacunkiem, a w myśli dojrzał i markę do hotelowego rachunku.

— Gdzie jest droga do gmachu dyrekcji?

— Prosto, a potem na prawo, jaśnie panie — odpowiedział gospodarz z głębokim ukłonem.

Zadzwoiłem do biura. Nikt nie otwiera. Co za skandal! Nie stać Towarzystwo na portjera? Pchnąłem drzwi. Roztworzyły się na roście.

Przeszedłem przez pusty pokój i ujrzałem w następnym przysadzistego jegomości zmieniającego marynarkę z grubego i wyszarzanego sukna na długi czarny surdut.

— A czego tam? — zawołał do mnie.

— Jestem...

— Wiem, wiem, oferta smarów olejnych Benzigera i Co. Nie potrzeba. Mamy zapas na siedem lat. No, i, dowiedzenia, idę na ogólne zebranie. Rozumiesz pan? Ogólne ze-bra-nie!

— Idę z panem dyrektorem.

— Pan?

— Pan pozwoli, że się przedstawię: akcjonariusz Müller.

— Tak... tak... tak... dlaczego pan zaraz nie powiedział, panie... panie... panie akcjonariuszu?

Ucisnął mi rękę, spojrzał na zegarek, oznajmił, że za 10 minut zebranie się rozpoczyna, a trzej główni akcjonariusze, którzy przyjeżdżali co roku telegrafowali, że wskutek śnieżnej zamieci utknęli w drodze i wobec tego ja jestem dotychczas jedynym akcjonariuszem.

— Ile właściwie akcji pan posiada?

— Jedną — odparłem pokazując kartę wyborczą, wydaną mi przez bank Zed.

— Jedną? — zdziwił się, zmieniając znowu ton — a wie pan — ciągnął dalej — ile mają akcji ci panowie, co ugrzęźli w śniegu?.. Dwa tysiące osiemset osiemdziesiąt sześć, rozumie pan?

Nie lubię ordynarnych ludzi. Najeżyłem się więc, jak szczecina. Błyskawicznie przyszło mi na myśl parę paragrafów prawa handlowego, które studjowałem jednego z ostatnich dżdżystych dni.

— Wszystko mi jedno — odciałem się za lekceważące obejście — wszystko mi jedno — powtórzyłem — ja jestem, rozumie pan? A paragraf sześć tysięcy siedemset osiemdziesiąty dziewiąty prawa handlowego głosi, że zwyczajne ogólne zebranie uchwała niezależnie od ilości posiadanych akcji...

Sekretarz dyrekcji, który stanął we drzwiach, skinąwszy mi głową, potwierdził:

— Tak, tak, pan akcjonariusz ma słusność.

— Hm, w takim razie chodźmy — zgodził się dyrektor i udaliśmy się do sali posiedzeń.

W przedpokojku wisiał cylinder — to członek Rady Nadzorczej, miejscowy burmistrz przybył na posiedzenie. Powiesiłem obok podróżną czapkę i oddawszy buchalterowi moją kartę wyborczą do zarejestrowania, wszedłem na salę. Przedstawiono mi p. burmistrzowi, poczem z wyniosłym gestem zająłem miejsce, założwszy niedbale nogę na nogę.

Wśród uroczystej ciszy, przerywanej jedynie monotonnym warkotem maszyn w warsztatach, przewodniczący otworzył posiedzenie.

— Czy szanowni panowie akcjonariusze życzą sobie wysłuchać sprawozdania rzeczowego? — zapytał następnie.

— Tak — odparłem krótko.

Od stołu prezydjalnego doszedł mi eichy pomruk niezadowolonia, lecz sekretarz posłusznie zaczął czytać sprawozdanie.

Przy pozycji „różne“, przerwałem mu:

— Proszę o głos!

Przy stole prezydjalnym poruszenie.

— Czy ta pozycja obejmuje smary olejne?

Szybkie przerzucanie stron w księgach.

— Tak — odparł w końcu dyrektor.

— Dobrze. Stawiam wniosek, aby nie robić na przyszłość zapasu na siedem lat. Konjunktura w tym przemyśle jest nieobliczalna, moi panowie.

Dyrektor usiłował mrugnąć do mnie, ale udałem, że tego nie widzę.

Wreszcie przewodniczący postawił wniosek o przyjęcie bilansu i budżetu na rok przyszły. Głos jego przytem drżał nieco.

— Proszę o głos! — odezwałem się.

Oblicza prezydium zastygły w naprężeniu.

Lubowałem się przez chwilę tym kulminacyjnym punktem mej dyktatury, poczem z wolna wycedziłem:

— Nie mam nic przeciwko bilansowi i preliminarzowi budżetu —

Na twarzach prezydium odprężenie.

— ale —

Znowu naprężona atmosfera przy stole prezydjalnym.

— ale wnoszę — ze względu na ponowny wzrost dywidendy: po pierwsze: podniesienie tantiemy Rady Nadzorczej o trzy procent —

Błogi wyraz opromienił oblicze burmistrza.

— po drugie: podniesienie honorarium dyrektora o 1000 marek —

Na twarzy dyrektora radosne osłupienie.

— po trzecie: gratyfikację w wysokości 100 marek dla każdego urzędnika —

Buchalter przy stoliku u wejścia do sali zerwał się mimowoli z miejsca.

— a w wysokości 30 mk. dla każdego robotnika naszej fabryki.

Wśród podnieconego nastroju przewodniczący zabrał głos.

— Kto z uprawnionych do głosowania akcjonariuszy jest za temi wnioskami — niech podniesie rękę do góry.

Podniosłem sztywno rękę.

— Kto przeciw wnioskowi?

Opuściłem rękę.

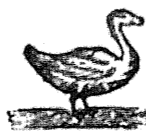
Sekretarz odczytał punkt protokołu o jednomyślnym przyjęciu wszystkich wniosków.

Po zamknięciu posiedzenia wstałem pełen godności, skloniłem się sztywno, wyszedłem z sali, wbiżyłem czapkę, minąłem szybko warsztaty, czując za plecami ścigające mnie z okien 1-go piętra spojrzenia i epitety ujarzmionego przeze mnie na godzinę gremium organów przedsiębiorstwa akcyjnego „Iks“ i dopadłszy do lasu... rzuciłem się w miękką trawę, zanosząc się od długo tłumionego śmiechu.

Potem wyjąłem z portfela akcję ciotki Karoliny i przyglądając się drobno zapisanemu czworokątowi medytowałem nad... wszechwładną potęgą świstka papieru!

Dopiero nazajutrz zrana u brzegu mądrej tafli jeziora okolonej strzelistemi skalami o śnieżnych turbanach, gdy nadaremnie usiłowałem złowić srebrzystą rybkę na przynętę z wczorajszej czerwonej kartki wyborczej, pierzeł mój poważny filozoficzny nastrój i gwizdząc wesołą piosenkę powędrowałem w kąpiące się w świeżej porannej rosie stoki górskie.

Tłum. J. Saw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok III.

ŁÓDŹ, dnia 20 czerwca 1926 roku.

Nr. 25.

:-: Sukcesy warszawianki na scenie łódzkiej. :-:



P. Miła Kamińska, uroczą artystką teatrów warszawskich, święciła triumfy w ubiegłym tygodniu na scenie Teatru Miejskiego w perlającej się szampańskim humorem komedji p. Kiedrzyńskiego p. t. "Kobieta, wino, dancing".

Teatralja.

Nowości warszawskie. — U pobratymców. Nieudany eksperyment.

Teatr Letni, broniąc się wszelkimi siłami przed zagładą, grożącą mu ze strony ojców magistrackich, bardzo mądrze i przeczornie salwuje swą pozycję i rację swego istnienia przede wszystkim — doбором i troską repertuarową. Wyrazem tej troski o uszlachetnienie teatralnego przybytku w Ogródzie Saskim jest m. in. wystawienie znakomitej komedji Wiktoryna Sardou p. t. „Rozwiedzmy się!“ („Divorcions!“), będącej już dzisiaj, ze względu na swój wiek podszły, sztuką o posmaku niemal klasycznym. Jest to jednak klasycyzm w jak najlepszym w jak najbardziej zajmującym stylu. Gra charakterów ludzkich, puszczona w ruch ręką Sardou, nie przestała być wcale aktualna, a majsterstwo sceniczne wielkiego komedjopisarza francuskiego nie uroniło ze swego blasku.

To też wystawienie komedji „Rozwiedzmy się!“ — w Teatrze Letnim — przyjęte zostało ogólnym aplauzem. Bardzo staranna stylizacja i znakomita gra (zwłaszcza p. Ćwiklińskiej) uwypukliły zalety niestarzejacej się sztuki, która smakuje dziś, jak stare, dobrze wystale, wino.

Ostatnią premierą Teatru Polskiego jest amerykańska komedja G. Montgomery'ego, zatytułowana dość intrygująco: „Dzień bez kłamstwa“. Sztuka ta tylko w szczególnej atmosferze amerykańskiego „biznesizmu“ powstać mogła — i tylko wśród powszechnej dolarowo - giełdowej psychozy zrodzić się mógł ten komedjowy pomysł. Chodzi o to, że pewna miss, córka bogatego bankiera czy maklera, żąda od swego narzeczonego dowodu miłości w postaci podwojenia przezeń na giełdzie „skromnej“ sumki 10,000 dolarów, uzbieranej przez „posażną jedynaczkę“ na jakieś cele dobroczynne. — Młodzieniec jednak zamiast gry na giełdzie, wykombinował sobie inny trick. Zakłada się mianowicie o 10,000 dolarów z papą swjej narzeczonej, że w ciągu 24 godzin będzie mówił wszystkim i naokół — prawdę i tylko prawdę. Można sobie wyobrazić, jaki bigos powstaje w środowisku niezbyt czystych obłudników i groszorbów, gdy zapalony młodzian poczyna mówić „prawdę“. Ponieważ jednak ta prawda naładowana jest raczej szmermelami nieszkodliwego dowcipu, aniżeli groźnym dynamitem złych i kąśliwych socjalnych zawiści — wszystko kończy się jak najlepiej. To „najlepiej“ da się streścić w końcowym aforyzmie młodzieńca, że „Prawdą jest miłość, wszystko inne — błąd“. Słowem — młody yankes odkrywa Amerykę, a publiczność bawi się tymczasem wcale nieźle, patrząc na tortury męczennika prawdy.

P. Maszyński w głównej roli Boba dał znowu znakomity wzór gry aktorskiej, humoru, pomysłowości i jednolitości tonu. Reżyż obsady doskonale partnerowała wodzirejowi komedji, wywołując jakieś słoneczno - dolarowe nastroje na widowni.

Jak nas informują, na stanowisku dyrektora Teatru Narodowego zajdzie z początkiem przyszłego sezonu zmiana. Mianowicie — stanowisko to obejmuje p. Jan Lorentowicz, który niezawodnie wprawną ręką wprowadzi działalność Teatru Narodowego na właściwe tory, unikając niebezpiecznych manowców.

W dniu 12 b. m. rozpoczął się w Paryżu międzynarodowy kongres zrzeszeń autorów dramatycznych. Jako przedstawiciele polskiego Związku Autorów Dramatycznych na kongres ten wyjechali pp.: Stefan Krzywoszewski, H. Morstin, i Zdz. Kleszczyński.

Teatr Miejski na Winohradach w Pradze Czeskiej zaznajomił niedawno stolicę nadwęłtawską z najnowszą sztuką utalentowanego czeskiego powieściopisarza i dramaturga, Franciszka Szrameka, p. t. „Wyspa wielkiej miłości.“ Jest to tytuł projektowanego filmu, który ma być zdejmovany na odludnej wyspie.

Dyrektor przedsiębiorstwa filmowego urządził wycieczkę w towarzystwie zespołu. Łódź gubi drogę z powodu mgły i przybija do jakiejś nieznannej wysepki. Wśród nie dostępnych jej skał żyją jacyś zbrodniarze i wrogowie ludzkości. Jeden z nich, Rogers, kradnie łódź w nocy, a po kilku dniach gdy wygłodzeni artyści oczekują już tylko głodowej śmierci, oznajmia przerażonym, że o ile dwie artystki przybędą do niego i jego towarzyszy, otrzymają pożywienie dla siebie i całego zespołu. Artystki — mimo oburzenia kolegów, godzą się na suchawą propozycję, udają się w nocy do Rogersa i nad ranem wracają do obozu rozbitków.

Ci, znalazłszy jednocześnie kosze z żywnością, nie wątpią o przebiegu wypadków poprzedniej nocy. Propozycja Rogersa i jej „konsekwencje“ okazują się tylko mistyfikacją, a sztuka kończy się odjazdem artystów.

Doskonała komedja Szrameka, utrzymana w tonie lekkiej karykatury, zyskała sobie uznanie krytyki i publiczności czeskiej.

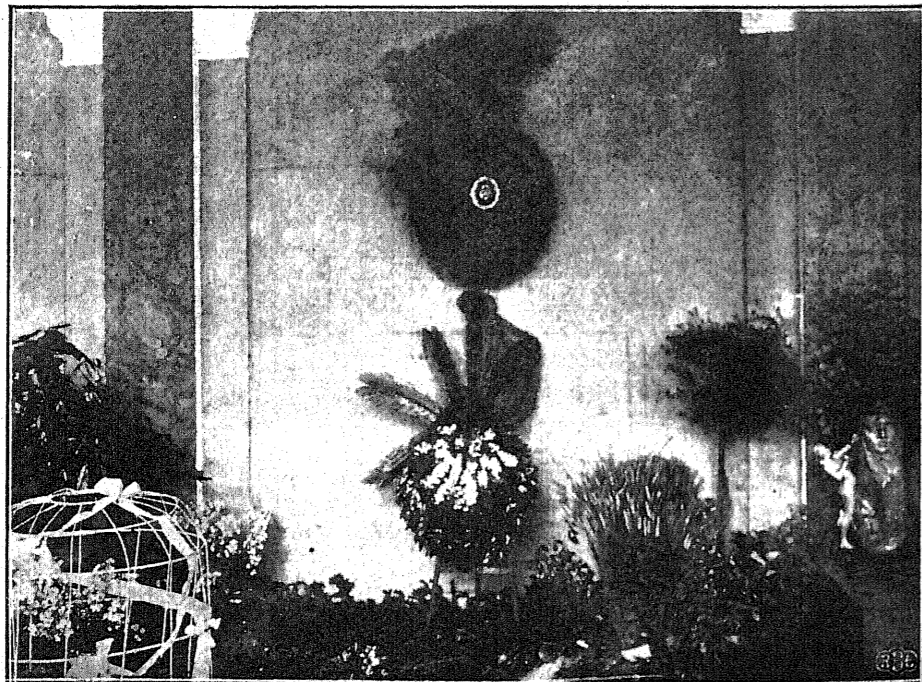
Z dziedziny modnych dziś eksperymentów teatralnych — znowu fakt jeden. Stowarzyszenie młodych pisarzy niemieckich p. n. „Młode pokolenie“ zajmuje się przeważnie eksperymentami teatralnymi, co w rzadkich tylko wypadkach znajduje poklask widzów.

Niedawno stowarzyszenie to wystawiło w jednym z teatrów berlińskich sztukę Karola Schenzingera, która zamiast tytułu posiadała w nagłówku — trzy krzyże. Okazało się jednak, że jest to tani rewolwery melodramat, kończący się podwójnym zabójstwem i samobójstwem. Jak zauważył jeden z krytyków, „trzy krzyże“, oznaczające niepiśmienność, są najlepszą charakterystyką tego utworu. Ponieważ wystawienie sztuki Schenzingera nabrało wprost cech skandalu, w sensie dla „Młodego pokolenia“ nader niemiłym — prawdopodobnie drzwi poważniejszych teatrów niemieckich zostaną przed produkcjami zgrupowanych w tem zrzeszeniu autorów na długo zamknięte.

Delta.



Poezja i artyzm w kwaciarstwie.



Symboliczna kompozycja kwiatowa z Wystawy p Salwy w Miejskiej Galerji Sztuki p. n. „Pokój zmarłym—żywym cześć“, poświęcona Ł. S. O. O.

„JEDNORÓG“ - wystawa art. malarzy krakowskich w Miejskiej Galerji Sztuki.



Wacław Zawadowski.

Portret M. Paszkiewicz.

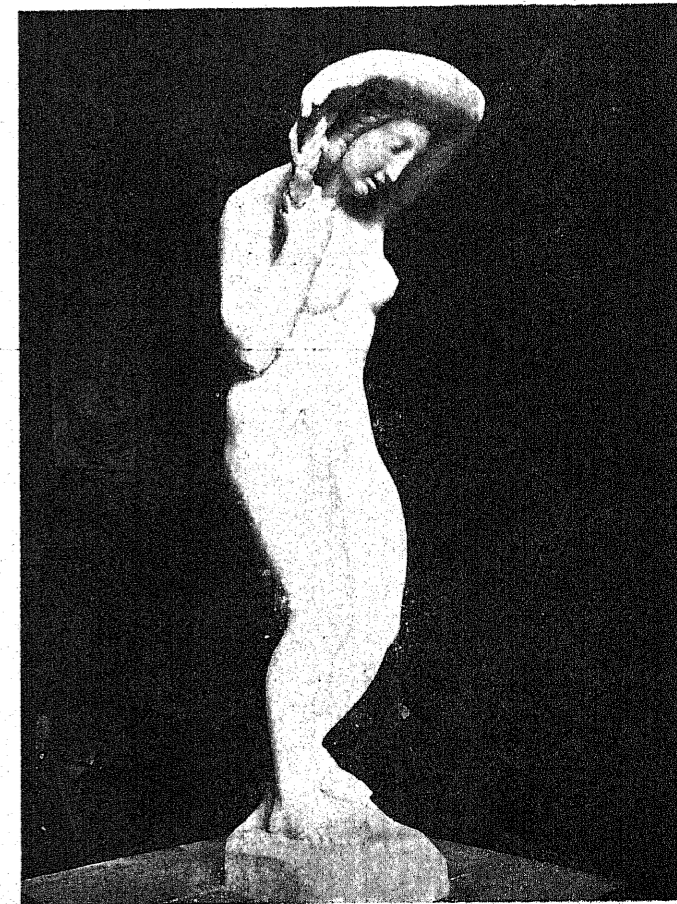


Jan Hrynkowski.

Portret.



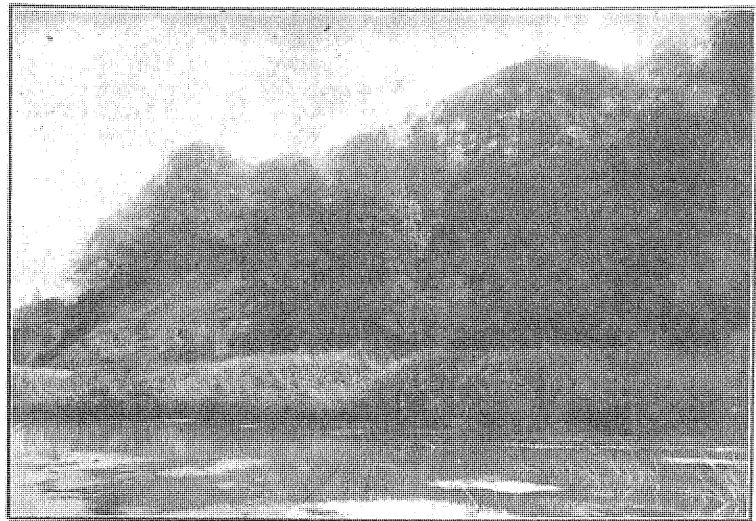
„...A kiedy będziesz moją żoną!“ kompozycja p. Salwy, poświęcona Kazimierzowi Tetmajerowi.



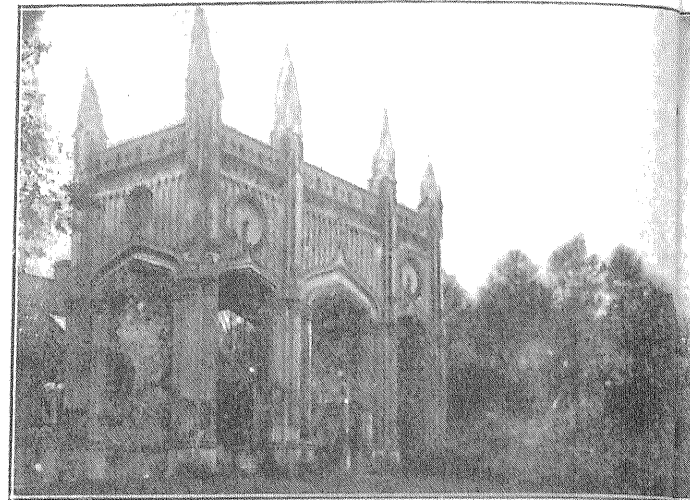
Stanisław Popławski

„Ewa“

Z kodakiem po błęnej wstędze Niemna.



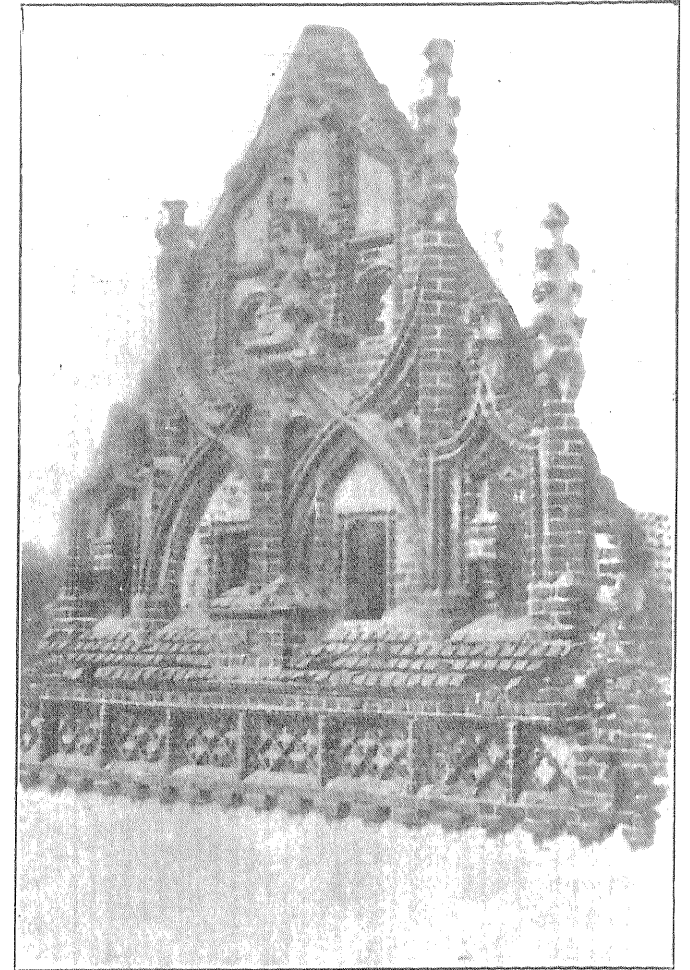
Szeszupa.



Dowspuda.



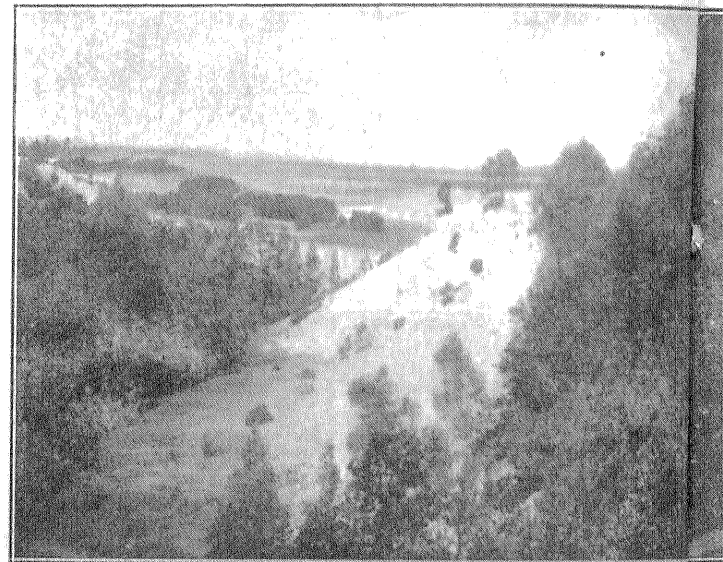
Typy Mazurskie.



Dom Witolda.



Preny.



Oko Olity.

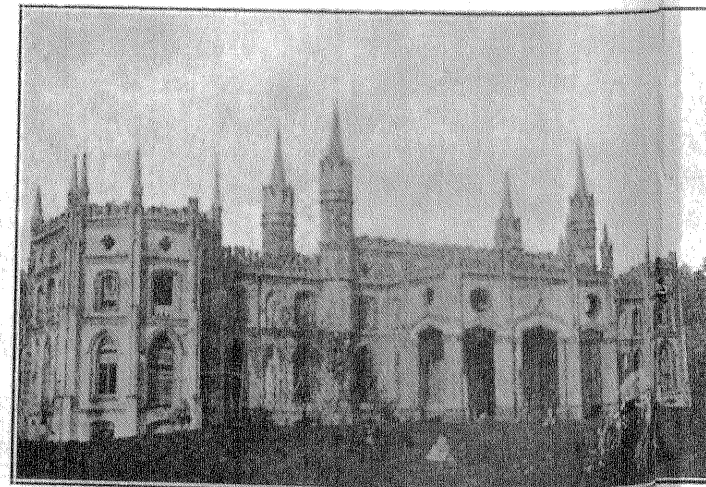


Kowno.

Dolina Mickiewicza.

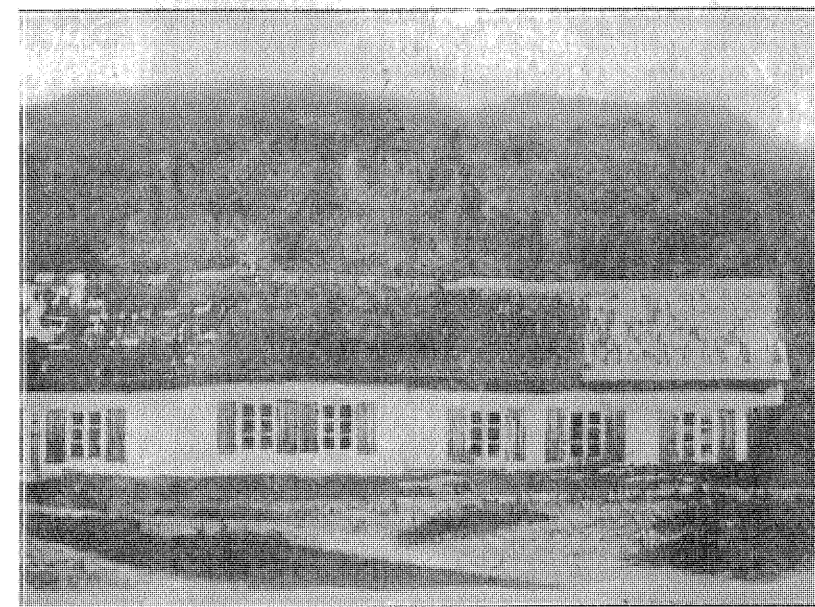


Polka i Litwinka.



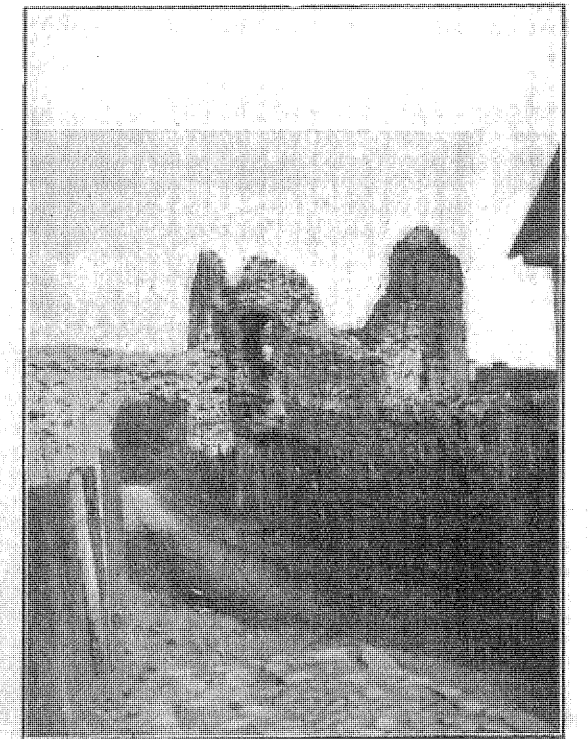
Dowspuda.

Paca



Kowno.

Dom Mickiewicza.



Kowno.

Ruiny zamku.



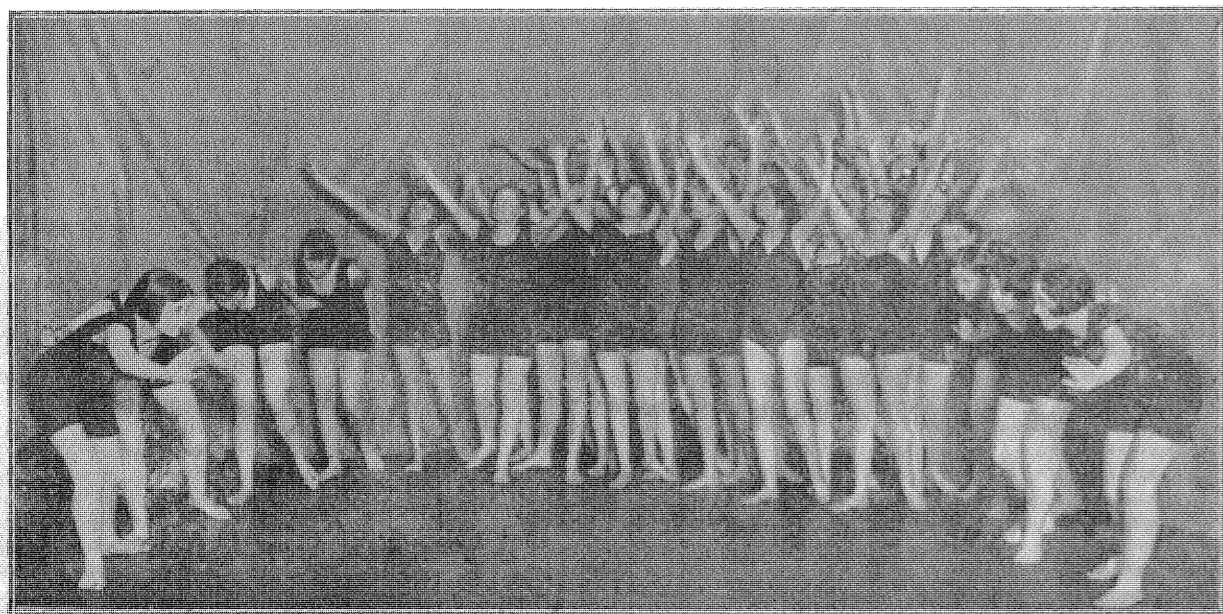
Znakomita rewja „My chcemy króla”, wystawiana przez „Perskie Oko” długo bawiła warszawian. Na zdjęciu Lawiński w roli króla.



P. Cwiklińska i Grabowski świetni wykonawcy ról głównych „Komedji wiarołomstwa” E. M. Harwooda wystawianej z powodzeniem przez dłuższy czas przez Teatr. Mały w Warszawie. —



Abd El-Krim przed oddaniem się w niewolę francuską dokonał ostatniego przeglądu nielicznych oddziałów powstańczych, których wierność dla wodza dochowała się do ostatniej chwili. Zdjęcie nasze ilustruje moment mowy pożegnalnej Abd El-Krima do podwładnych.



Zespół znanej w Warszawie Szkoły Rytmiki i Plastyki Janiny Mieczysławskiej, która otrzymała ostatnio drugą nagrodę na turnieju tanecznym, który odbył się w gmachu Cyrku warszawskiego.

KURT KUHLER.

Zemsta miss Mabel.

Miss Mabel miała dwadzieścia cztery lata, gdy na przyjęciu u ojca swego, czcigodnego lorda Roberta, poznała markiza de Bland, sekretarza ambasady francuskiej w Londynie. Ponieważ markiz miał zmęczony wyraz twarzy, odróżniał się w towarzystwie i mówiąc z kimś, fiksował marzącym spojrzeniem głębokich oczu — kobiety uwały go za pociągającego i ciekawego.

Miss Mabel, dotychczas obojętna na objawy uczuć, jakie wywoływała jej uroda, inteligencja i szlachetne urodzenie, zauwa-

żyła ze zdumieniem, że sama myśl o wytwornej postaci i ciemnych oczach markiza budzi w niej wzruszenie. Markiz również uległ widocznie urokowi tej smukłej, energicznej, zahartowanej sportami blondyny, której stalowo - szare oczy wyrażały silną, nieugiętą wolę i umiały oneśmielać lub podniecać.

Wkrótce towarzystwo londyńskie spostrzegło flirt miss Mabel z markizem, a ponieważ odpowiadali sobie „wiekiem” i stanowiskiem, oczekiwano naturalnego zakończenia tej miłości — wspaniałego ślubu.

Markiz nie odstępował miss Mabel podczas jej wycieczek autem, przejażdżek bia-

łą żaglówką, pieszych i konnych spacerów. W młodym Francuzie burzyła się krew, a miss Mabel z naturalnością młodej i niewinnej dziewczyny nie szczędziła mu pocałunków i uścisków.

Po jakimś czasie towarzystwo londyńskie i lord Robert doszli do wniosku, że zakończenie flirtu zbyt długo daje na siebie czekać. Lord napomknął o tem córce, miss Mabel uznała jego opinię za słuszną i powiedziała to markizowi, który dotychczas dla najróżniejszych przyczyn odkładał termin zaręczyn.

Nazajutrz po tej rozmowie markiz nagle opuścił Londyn, a po tygodniu ambasada

francuska otrzymała wiadomość, że markiz de Bland na własną prośbę został przydzielony do poselstwa w Waszyngtonie. Jednocześnie nadszedł list od markiza, pisany z Trouville, w którym markiz żegnał swą zwierzchność i kolegów.

Lord Robert przyniósł te wieści córce do domu. Miss Mabel wysłuchała spokojnie, poczem wręczyła ojcu list i milcząco opuściła pokój.

List był pisany do Mabel. Markiz de Bland przepraszał ją, że nie może starać się o jej rękę, ale jest już dawno ożeniony i ma kilkoro dzieci. Ważne powody skłaniały go do zatajenia tego małżeństwa przed światem — prosi też Mabel o nie rozgłaszanie tego faktu i błaga o przebaczenie, że wywołał swem zachowaniem złudne i niestety nieziszczalne projekty.

Lord Robert z cichym „shoking!” schował list do kieszeni i zamyślił się nad sposobem przywrócenia córce równowagi i upozorowania całego zajścia przed towarzystwem londyńskim.

Wkrótce jednak spostrzegł z zadowoleniem, że obawy jego wobec Mabel okazały się ponne. Piękna panna zewnętrznie nie zmieniła zupełnie swego życia, nadal jeździła samochodem, grała w tenisa, spędzała długie godziny na rzece w białej żaglówce. Lord odetchnął — córka jego była prawdziwie zahartowanym człowiekiem...

Ale w duszy Mabel podniosła się burza. Nie mogła znieść myśli, że ją, gardzącą tyłoma bijącymi dla niej sercami, oszukano tak haniebnie. Jedno tylko słowo dźwięczało jej w mózgu, niby uparta osa: Zemsta!

Po dziesięciu dniach miss Mabel wyjechała z Londynu, zostawiając dla ojca list, w którym donosi mu, że udaje się w podróż po kontynencie, aby rozerwać się i uspokoić.

Na tarasie Palace - Hotel w Trouville siedział markiz de Bland z piękną i wytworną kobietą. Wyszukany obiad przerwał im lokaj, podając markizowi list. Markiz poznał duży, wyraźny charakter pisma Mabel. Zaniepokojony, otworzył list, przebiegł go oczyma, zbladł i przeprosiłszy piękną znajomą, zdziwioną i podrażnioną jego zagadkowym zachowaniem się, poszedł nad morze. Ostry powiew nie uspokoił go jednakże. Markiz poznał dobrze silną, nieugiętą wolę Mabel i ogarnął go typowy lęk mężczyzny, który czuje się bardzo winnym wobec kobiety. Co chciała ona teraz od niego?

O 7-ej minut 32 markiz opuścił expresse Trouville.

W dwa dni później wieczerał w swoim majątku w Normandji w towarzystwie żony i dzieci. Gdy dzieci poszły spać, markiz przechadzał się z żoną alejami parku. Nagle zjawiała się pokojówka, niosąc na ta-

cy depeszę. Markiz przeczytał ją ukradkiem, a nazajutrz o świcie, nie dając żonie żadnych wyjaśnień, wyjechał.

Po kilku dniach w kasynie w Monte - Carlo, gdzie markiz od trzech wieczorów wygrywał całe stopy pieniędzy, upadł mu banknot stufrankowy. Gdy schylił się po niego, zobaczył obok na ziemi liścik, noszący znany mu aż za dobrze charakter pisma. Markiz zadrżał i gnany śmiertelnym strachem opuścił kasyno, a wnet potem Monte - Carlo.

Jak tropiony zwierz, tułał się markiz de Bland z miasta do miasta. Wciąż ludził się nadzieją, że miss Mabel znudzi się ten szalony pościg — ale daremno. Gdziekolwiek skierował swe kroki — list lub depesza ostrzegały go, że prześladowczyni jest blisko.

Pod koniec lata udał się do Waszyngtonu, aby objąć nowy urząd w ambasadzie. Podróżował jako pasażer śródpokładu na niedużym portugalskim parowcu, sądząc, że uniknie swej dręczycielki.

W Waszyngtonie rozgościł się w swych apartamentach i zaczął lżej oddychać, gdy minęło dwa tygodnie, a Mabel nie dawała o sobie znaku życia.

Nadszedł dzień, w którym miał się przedstawić prezydentowi Stanów Zjednoczonych. Ubrany we frak, poprawiał jeszcze przed lustrem wprawnym ruchem palców nieskazitelnie biały krawat. Nagle zatrząsnął się cały. Ujrzał w lustrze, jak otworzyły się drzwi i do pokoju wsunęła się miss Mabel, amieruchamiąc go stalowem spojrzeniem swych błękitno - szarych oczu. Za nią, niepostrzeżenie dla markiza, przemknął szczupły, czarno ubrany młodzieniec i ukrył się w fałdach portjery u okna.

— Otom przyszła sama, panie markizie. Myślę, że będziesz mi równie posłuszny, jak mym listom.

Markiz bezwładnie opadł na krzesło i złożywszy ręce, krzyknął:

— Na miłość boską, czego pani chce ode mnie?

— Pan mnie tropił, jak dzikiego zwierzka — czyż mnie nie wolno zabawić się w myśliwego, który póty będzie gnębił pana, aż pan upadnie? — odparła Mabel i szybkim ruchem wyjąwszy z woreczka rewolwer, wymierzyła w markiza i krzyknęła.

— Panie markizie, expressem o 7-ej opuści pan Waszyngton!

De Bland'a ogarnęła rozpacz. Skoczył do niej, gotów do walki na śmierć i życie. Ale gdy ujrzał palec miss Mabel, spokojnie obejmujący cyngiel, zadrżał i upadł przed nią na kolana, błagając ze szlochaniem o zmiłowanie.

Wtedy z za kotary odezwało się delikatne przytknięcie i ciemna postać opuściła pokój, unosząc nieduży aparat fotograficzny.

Miss Mabel schowała rewolwer i zimno wycedziła:

— Powstań pan, popraw frak i śpiesz do prezydenta. Przedstaw mu się dzisiaj — jutro może być za późno...

Wolnym, spokojnym krokiem piękna miss wyszła. Markiz wkrótce potem udał się do Białego Domu, gdzie jako przedstawiciel wielkiego narodu, przyjęty był z wielkimi honorami.

Nazajutrz zato w Waszyngtonie i New - Jorku ze złośliwymi uśmiechami podawano sobie brukowe pisemko, w którym pod sensacyjnym nagłówkiem, tustem trzecionkami opisana była przygoda miłosna markiza, pościg dzielnej dziewczyny, tchórzostwo oszusta, a obok zdjęcie uwieczniło młodego dyplomata, błagającego na klęczkach śliczną pannę, mierzącą doń z rewolweru.

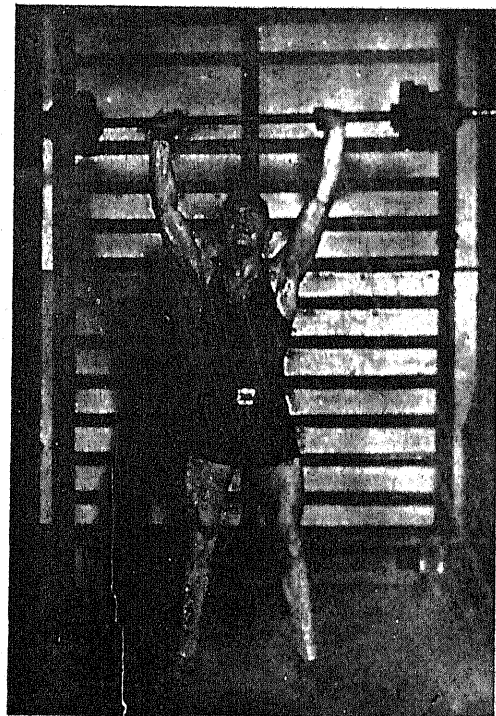
Karjery dyplomatyczna i życiowa markiza de Bland skończyły się. Wyszadzony, zgorzkniały, zasztywniał w swoim majątku, gdzie strawił życie.

W tygodniu po opisanej scenie miss Mabel witała swego ojca, opowiadając mu spokojnie o miastach i krajach, które zwiedziła.

Towarzystwo londyńskie przyjęło miss Mabel owacyjnie. Podziwiano ją ogólnie, a zastęp wielbicieli ubiegał się o rączkę nieustraszonej dziewczyny. W krótkim czasie poślubiła lorda Henry Dundonalda i podobno żyła z nim nader szczęśliwie.

(Hum. Ir.)

Polski Rigoulot.



Łodzianin Erwin Stibbe (Union), uprawia z zamiłowaniem ciężką i lekką atletykę oraz boks.



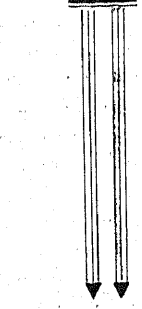
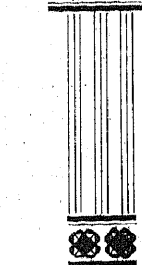
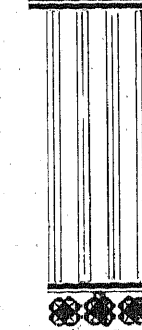
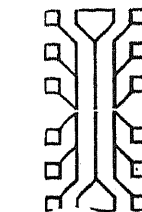
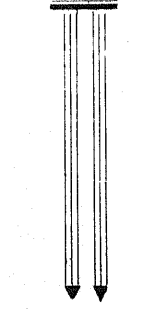
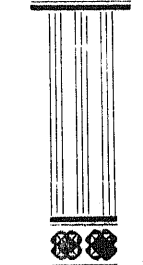
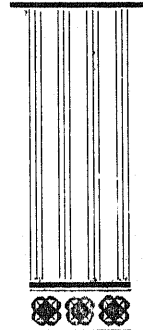
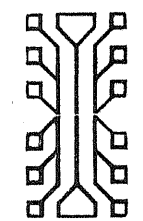
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok III.

ŁÓDŹ, dnia 27 czerwca 1926 roku.

Nr. 26.

P. Zofja Lindorfówna



Uroczą odtwórczyni „Wikci” z „Ludzi Tymczasowych” — Kaweckiego święciła triumfy na scenie Teatru Miejskiego w Łodzi podczas gościnnych występów stołecznego Teatru Narodowego w ubiegłym tygodniu.